



Niesamowita historia miłosna autorki książki *Narzeczona na chwilę*

UWIEZIENI W przeżyłości

MONIKA SERAFIN



Copyright © 2021
Monika Serafin
Wydawnictwo NieZwykłe
All rights reserved
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja:
Julia Deja
Korekta:
Anna Grabowska
Edyta Giersz
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Projekt okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-532-7

MONIKA SERAFIN

**UWIEZIENI
W PRZESZŁOŚCI**

OŚWIĘCIM 2021

ROZDZIAŁ 1

Szczeble drewnianej drabiny trzeszczały cicho, kiedy Mina wchodziła na poddasze stajni, by zrzucić z niego belę słomy. Nie przejmowała się za bardzo, przyzwyczajona do tego odgłosu. Wiedziała, że drabina tylko wyglądała na niestabilną. Nucąc pod nosem piosenkę, którą usłyszała rano w radiu, pokonała cztery pierwsze stopnie bez żadnych przeszkód. Nie mogła jednak wiedzieć, że drewno pękało odrobinę za każdym razem, gdy przenosiła ciężar ciała na piąty szczebel. Pech chciał, że właśnie tego dnia poddało się całkowicie, drążek trzasnął, a niepodejrzewająca niczego dziewczyna poleciała w dół.

Zderzywszy się z twardą ziemią, Mina nabawiła się guza na głowie oraz uszkodziła nadgarstek. Większość małych urazów, powstałych przy pracy w stajni, była w stanie wyleczyć sama, ale roztrzaskane kości prawdopodobnie przekraczały jej lecznicze umiejętności. Dlatego też niecałe dwadzieścia minut później znalazła się w gabinecie lekarskim mieszczącym się w centrum Downey River. Prowadził go doktor Thomas Wheeler – wysoki i chudy trzydziestoparolatek, który na widok dziewczyny westchnął głośno.

– Co się stało? – zapytał, wpuszczając ją do środka. Znał Minę Davis, bywał na jej posesji już wielokrotnie. Wzywał ją go, gdy któryś z prywatnych właścicieli spadł podczas jazdy czy oberwał kopniakiem od swojego wierzchowca. Sama również potrzebowała pomocy, kiedy zwicznęła kostkę lub uderzyła głową w belkę na poddaszu.

– Spadłam z drabiny – wyjaśniła krótko.

Mężczyzna chwycił jej prawą rękę i obejrzał dokładnie potłuczony, opuchnięty nadgarstek. Przeszedł ją nieprzyjemny dreszcz, gdy nacisnął w miejscu, w którym powstał uraz. Syknęła z bólu, z trudem powstrzymując się przed wyrwaniem dłoni z jego uścisku.

– Zrobię prześwietlenie i nałożę gips – powiedział, zapisując w karcie odpowiednie adnotacje. Marszczył w skupieniu czoło, przez co wyglądał na starszego, niż był w rzeczywistości.

– Gips? Nie możemy tego jakoś ominąć?

– Nie jestem cudotwórcą.

Mina pokiwała głową, kontemplując jego wygląd. Pomagało jej to odciągnąć myśli od uciążliwego klucia w nadgarstku. Thomas miał trójkątną twarz i trochę krzywy nos, ale nie wyglądał źle. Oczy przypominały barwą mieszankę zieleni z brązem, natomiast równo przystryżone, zaczesane na bok włosy były mysie. Wśród miejscowych samotnych kobiet uchodził za przystojniaka i choć Mina zgadzała się z tą opinią, jako jedna z nielicznych nie oszalała na jego punkcie.

Nie mówił wiele, kiedy przygotowywał salę z rentgenem. Jego jedynymi słowami były polecenia, by położyła rękę w odpowiednim miejscu i stała nieruchomo podczas naświetlania. Dopiero nakładając ostatnią warstwę gipsu, kilkadziesiąt minut później, postanowił się odezwać:

– Musisz na siebie bardziej uważać.

Davis miała szczęście, że nie doszło do żadnych przemieszczeń, a jedynie do niewielkiego pęknięcia. Lekarz wyjaśnił to, pokazując na zdjęciu coś, co według niego było urazem, a dla niej wyglądało jak plama niczego.

– Zawsze to powtarzasz – stwierdziła, powstrzymując się przed przewróceniem oczami.

– I mówię poważnie, Mino. – Spojrzał na nią srogo. – Jesteś tak zabiegana, że czasami w ogóle nie zauważasz zagrożenia. Nie możesz robić wszystkiego sama, bo w końcu zdarzy się jakiś nieszczęśliwy wypadek.

– Chyba już się zdarzył. Z tym gipsem nie będę mogła naprawić płotu. – Skrzywiła się, czując ciężar kilku warstw sztywniejących bandaży. Nie podobało jej się to, że nie była w stanie poruszać nadgarstkiem, przez co będzie musiała odsunąć wszelkie renowacje w czasie. Nie lubiła czekać, ale łapanie za młotek lewą ręką byłoby pewnie jeszcze bardziej niebezpieczne.

– Może to znak, że powinnaś kogoś zatrudnić – powiedział Thomas, wstając ze swojego miejsca i podchodząc do umywalki, by wyczyścić dłonie.

– Może. – Głos Mino był markotny, ale jednocześnie jakby nieobecny. Wpatrywała się w świeży gips i zastanawiała nad słowami Thomasa. Już wielokrotnie jej powtarzał, że powinna znaleźć kogoś do pomocy w stajni, lecz ona uparcie odmawiała. Nie chciała nikogo, radziła sobie sama. To nie było takie trudne.

– Posłuchaj... Wiem, że jesteś dużą i samodzielną dziewczynką – uśmiechnął się z politowaniem – ale druga osoba w stajni to nie taki zły pomysł. Przynajmniej ktoś tam będzie, jeśli coś się stanie. Wiesz, że często siedzisz tam sama. Gdybyś straciła przytomność, mogliby cię znaleźć dopiero po kilku godzinach.

– Masz rację – mruknęła, patrząc na niego.

Podszedł bliżej, uśmiechając się lekko.

– Jak twoja głowa? – Spojrzał jej głęboko w oczy.

– Jakbym walnęła nią w ziemię – odpowiedziała nieco zadziornie. Szumiało jej trochę w uszach, poza tym nie czuła się źle. Na szczęście kępka trawy zamortyzowała upadek na tyle, by nie rozbiła sobie czaszki.

– Patrz na mój palec – polecił. Przyjrzał się uważnie ruchom jej oczu, a następnie poświecił w nie małą latarką, by zbadać reakcje źrenic. – Wygląda na to, że nic ci nie jest. Weź aspirynę, a w razie zawrotów głowy lub nudności dzwoni do mnie. W żadnym wypadku nie próbuj wsiadać za kierownicę, przyjadę do ciebie.

– Jasne, doktorku – wymamrotała, zsuwając się z kozetki, na której do tej pory siedziała. Nie mogła się przyzwyczaić do nowego ciężaru na prawej ręce. Kiedy szła w stronę drzwi, miała wrażenie, że coś ciągnie ją w bok.

– Mina. – Odwróciła się, słysząc swoje imię. Lekarz opierał się o biurko, trzymając teczkę z jej kartą pacjenta. Patrzył na nią uważnie ze zmartwioną miną. – Mówiłem poważnie o zatrudnieniu kogoś do pomocy. Zrób to dla własnego dobra.

Pokiwała głową, pożegnała się i wyszła. Mężczyzna odprowadził ją wzrokiem, wzdychając. Znał Minę Davis na tyle dobrze, by wiedzieć, że tym razem również go nie posłucha. Bawiła go jej upartość, ale coraz częściej obawiał się, że doprowadzi ją ona do zguby.

Gdyby wiedział, że pomylił się tylko odrobinę i że swoim zatroskaniem zapoczątkował ciąg wydarzeń mających zmienić los dwojga zagubionych ludzi, już dawno sam zepchnąłby ją z tej drabiny.

Rafael stanął na chodniku tuż przed budynkiem stanowego więzienia i wziął głęboki oddech. Cieszył się bardzo, mogąc znów nazywać się wolnym człowiekiem; czekał na ten dzień cztery lata. Brakowało mu tego. Mógł teraz robić wszystko bez nadzoru, mógł pójść tam, dokąd chciał, zjeść to, co chciał, i spać tam, gdzie chciał. Żaden strażnik nie będzie mu więcej mówił, o której powinien zasnąć. Z pewnością nie będzie tęsknił za ustalonym z góry grafikiem i kiepskim żarciem.

– Rafi! – Odwrócił się, słysząc znajomy głos. Uśmiechnął się szeroko, chwytając w objęcia matkę, która biegła w jego stronę. Jej długie do ramion, brązowe włosy powiewały za nią, podobnie jak kwiecista sukienka. – Mój kochany synuś! – Ujęła jego twarz, zmuszając jednocześnie, by nachylił się do niej, i zaczęła składać pocałunki na jego policzkach.

Zaśmiał się, nie próbując nawet wyrwać z silnego uścisku. Wiedział, że jego pobyt w więzieniu kosztował ją wiele nerwów. Cierpiała mocniej niż on sam, odsiadując swój wyrok, dlatego nie zamierzał zabierać jej tej chwili radości.

– Tak się cieszę – powiedziała, odsuwając się od niego. Wciąż jednak trzymała dłonie na jego policzkach i wpatrywała się w niebieskie oczy. W jej zaś zbierały się łzy szczęścia. Pociągnięcie nosem świadczyło o zbliżającym się wybuchu płaczu.

– Mamo, już dobrze. Nie płacz. – Uśmiechnął się, przytulając ją mocno.

– Kiedy ja się cieszę, że już nie musisz siedzieć w tym strasznym miejscu – wyznała. Odsunęła się od niego, wycierając łzę, która spływała jej po brodzie. – Obiecuj, że więcej tam nie trafisz. – Pogroziła mu palcem.

– Obiecuję – odparł szczerze. Naprawdę nie zamierzał ponownie zadzierać z prawem. Ten jeden raz w zupełności

mu wystarczył. W więzieniu znalazł się w otoczeniu jeszcze większych zbrodniarzy i zwyrodnialców, którzy nie umilali mu pobytu w placówce. Wręcz przeciwnie, niejednokrotnie Rafael bał się o własne życie, a to zmuszało go do podejmowania działań, które niekoniecznie przemawiały na jego korzyść. Nie chciał zwariować ani utożsamiać się z tymi kryminalistami.

Jednak Rafael wiedział, że gdyby musiał, powtórzyłby to, co zrobił. Nie żałował, że sprawił Franka na kwaśne jabłko – nie dopóki jego mama była bezpieczna. To, czego żałował, to fakt, że zostawił Georgię samą, gdy najbardziej go potrzebowała.

– Chodźmy już. Nie chcę dłużej być w pobliżu tego piekła.

– Oczywiście. – Uśmiechnęła się szeroko, pokazując tym samym kompletnie trochę krzywych zębów.

Podeszli do starego, niebieskiego pickupa. Kobieta zasiadła za kierownicą, nie dając się przekonać, aby to on mógł prowadzić, w wyniku czego Rafael zajął miejsce pasażera. Otworzył okno, by cieszyć się powiewem świeżego powietrza na twarzy. Powiewem wolności.

Downey River znajdowało się w odległości prawie stu dwudziestu pięciu mil¹ od placówki więziennej, dlatego podróż urozmaicali sobie rozmową. Georgia opowiadała o tym, co wydarzyło się w mieście w przeciągu tych lat, w których był nieobecny. Powiedziała mu o ślubie Helen, z którą spotykał się przed czterema laty, z Jackiem, jego starym znajomym ze szkoły. Niedługo miało urodzić się ich pierwsze dziecko i wszystkie starsze panie w kościele obstawiały, że będzie to chłopiec, ponieważ przyszła mama w ogóle nie jadła słodczy. Rafael wiedział, że Helen się zaręczyła, jako że matka zdawała mu relacje z życia

¹ 125 mil to ok. 201,61 km (przyp. red.).

miasteczka podczas każdych odwiedzin, które nie były tak częste, jak oboje by tego chcieli. Choć cieszył się ze szczęścia młodej pary, nie mógł pozbyć się uczucia zawodu; Helen zostawiła go, kiedy trafił do więzienia. Nie dziwił się, była młoda i powinna cieszyć się życiem, nie czekając na nikogo. A on przez tych kilka lat zdążył pogodzić się z tym, że świat gnał dalej pomimo jego wyroku.

Georgia opowiedziała również o nowym systemie zapobiegania pożarom, który zamontowano w bibliotece po tym, jak rok temu omal nie spłonęła; o hucznych, sto drugich urodzinach pana Jonasa, które odbyły się dwa tygodnie wcześniej; o lisie, który podkradał kury z gospodarstwa państwa Porterów. Mówiła o drobnych rzeczach, o typowych, małomiasteczkowych sprawach, a jednak Rafael słuchał uważnie, chłonąc niemal każde słowo. Brakowało mu Downey River, brakowało mu ludzi i atmosfery, którą tworzyli jako społeczność.

Po prawie dwuipółgodzinnej podróży znaleźli się w odległości niecałych dwóch mili² od miasteczka. Wtedy to oczom Rafaela ukazała się boczna droga wykładana kamieniami, prowadząca między drzewami do stadniny należącej do Francisa Escobana i jego żony Greta. Stary Escoban chorował na raka, przez co coraz trudniej było mu utrzymać posesję w dobrym stanie, a Greta sama nie dawała rady, dlatego od kilku lat szukali kupca. Torros pamiętał, że jeszcze zanim trafił do więzienia, wyprzedali większość swoich koni, zapewniając Francisowi kilka kolejnych dawek bardzo drogich leków.

Rafaela zdziwiło, że nadjeżdżający z naprzeciwka brązowy jeep skręcił w tamtą drogę. Escobanowie nie mieli samochodu, do miasteczka zawsze przyjeżdżali wierzchem

² Ok. 1,6 km (przyj. red.).

lub, w ostatnim czasie, bryczką, ku ucieście miejscowych dzieci.

– Francis kupił w końcu auto? – zapytał, wskazując kciukiem zjazd, który dopiero co minęli.

– Nie, to nowej właścicielki – odparła Georgia spokojnie.

– Nowej właścicielki? Escobanowie sprzedali w końcu stadninę? – Rafael był zaskoczony. Wszyscy w Downey River wiedzieli, jak bardzo Francis wybrzydzał, szukając nabywcy. Prawie każdego spławiał, tak jakby w ogóle nie chciał jej sprzedawać.

– Nie mówiłam ci? – Georgia spojrzała na niego z uniesionymi brwiami. – Musiałam zapomnieć, to stało się zaraz po pożarze biblioteki, rok temu.

– Co się stało? – Zignorował wahanie, które usłyszał w głosie matki.

– Znaleźli kupca. Młodą dziewczynę, Minę Davis – powiedziała, przytakując sobie głową. – Tydzień po sprzedaży Francis zmarł, panie świeć nad jego duszą, a Greta przeniosła się do miasta. Mieszka w pensjonacie.

– Szkoda starego, zawsze był dla mnie miły. – Rafael westchnął. Wciąż pamiętał, ile frajdy sprawiało mu posiadanie kucyków, które Francis wystawiał zawsze na miejscowych festiwalach.

Georgia kontynuowała niewzruszona:

– Davis od razu się wprowadziła, jakby w pośpiechu, i wynajęła Raymonda, żeby zajął się budową jakiejś krytej... krytego czegoś. Mówił, że jeszcze nigdy nie trafił mu się taki klient. Mina właściwie wyłożyła kasę na stół i zażądała szybkiego załatwienia spraw. Rozumiesz? To chyba jakaś bogaczka, żeby tak pieniędzmi szastać... – Zaczekała krótko, by wyrazić dezaprobatę na podobne zachowanie.

– I załatwili to szybko?

– Uwinęli się w kilka miesięcy. – Georgia uśmiechnęła się niemal z dumą. Przyjaźniła się z Raymondem Hamiltonem od dziecka, to ona podsunęła mu pomysł na firmę budowlaną. – Ta cała Davis dostarczała im wszystkie materiały, których potrzebowali. Wystarczyło, żeby poprosili.

– Wow, musiało jej naprawdę zależeć na czasie – stwierdził Rafael, zerkając w lusterko. Niestety byli już za daleko, by mógł ujrzeć boczną, wykładaną kamieniami drogę.

– Jak dla mnie ta cała sprawa jest jakaś podejrzana – mruknęła kobieta, nieco ścisząc głos. – Skąd taka młoda dziewczyna miałaby tyle pieniędzy? Raymond mówił, że naprawdę nie żałowała nawet centa. Na mój gust taka kasa u takiej młódki musi pochodzić z jakichś szemranych interesów. Może narkotyki albo handel bronią.

– Nie daj się ponieść wyobraźni, mamó. – Rafael się zaśmiał. Znał Georgię i wiedział, że nie powinno się słuchać wszystkiego, co mówiła. Czasami zachowywała się jak te wszystkie stare panny w Downey River, które spotykały się raz w tygodniu na ławce w parku, aby omówić nowe wydarzenia. O tak, jego matka z pewnością lubiła plotkować. Problem polegał jednak na tym, że zdecydowanie za często snuła domysły tak bardzo odbiegające od prawdy, że śmiało można by je podciągnąć pod kategorię science fiction.

Jemu również wydawało się, że taka kasa w rękach młodej dziewczyny to dziwna okoliczność, ale uważał, że na pewno było na to logiczne wytłumaczenie. A przynajmniej takie, które nie obejmowało łamania tuzina przepisów prawa federalnego. Może dostała pieniądze od rodziców? Albo w spadku po bogatym dziadku?

– Cokolwiek to jest, wolałabym, żebyś trzymał się od niej z daleka.

– Jak sobie życzysz, mamó – zgodził się, uśmiechając się do niej.

Przejechali przez most, mijając tablicę z wielkim napisem: „Witamy w Downey River”, i Rafael poczuł, jak jego serce nieznacznie przyspieszyło. Las stawał się coraz rzadszy, z każdym jardem ubywało więcej drzew, aż w końcu ustąpiły one miejsca gospodarstwom rolnym, jednorodzinnym domkom z białymi płotami i budynkom urzędowym.

– Pomyślałam, że po powrocie będziesz chciał zjeść coś dobrego, więc zrobiłam wcześniej zakupy – oznajmiła z zadowoleniem Georgia, zerkając na syna z uśmiechem.

– Powiedz, że zrobiłaś kurczaka według przepisu babci – poprosił.

– Oczywiście! Właśnie się marynuje w lodówce! – odpowiedziała ze śmiechem.

– Tak! – Rafael zaciśniętą pięścią wykonał ruch zwycięzcy, szczerząc się jak dzieciak. Nie mógł się powstrzymać. Czuł się szczęśliwy. Mama się śmiała, siedząc obok niego, mógł jej dotknąć bez obawy, że oberwie w łeb od strażnika. Wracał do domu, oddychał świeżym zapachem lasu...

Był wolny!

ROZDZIAŁ 2

Aurelia Tye była jedną z tych kobiet, które w życiu od samego początku są na słabej pozycji. Urodziła się i wychowała na farmie, będąc piątym w kolejności dzieckiem z dwanaściorga rodzeństwa. Nie było łatwo dorastać wśród takiego zgiełku; dzieciaki biegały całymi dniami po podwórzu, wrzeszcząc i śmiejąc się, czemu rodzice często nie byli w stanie zapobiec. W domu nigdy się nie przelewało – Aurelia nie potrafiła już nawet powiedzieć, ile razy zapomniano o niej przy kupowaniu prezentów na Gwiazdkę. Zawsze czuła się niekochana i zaniedbywana.

Przez obowiązki domowe nie ukończyła szkoły, a kiedy na horyzoncie pojawił się całkiem niebrzydki kawaler, Aurelia szybko zrozumiała, że bez wykształcenia nie miała nawet szans wzbudzić jego zainteresowania. Urodą nie grzeszyła, rodzice dali jej w spadku jakiś marny procent majątku, który na nic się zdał. Nie miała niczego, czym mogłaby zaimponować młodzieńcowi. W tamtym momencie przyszłość malowała się w ciemnych barwach: do śmierci na utrzymaniu braci i sióstr, zakała rodziny. Załamała się, a kilka lat później zaczęła topić smutki w kieliszku wódki.

Z czasem kieliszek przerodził się w szklanę, a ta w całą butelkę. W wieku trzydziestu lat Aurelia Tye stała się nieszczęśliwą alkoholiczką. Jako pięćdziesięciopięciolatka była już po trzech odwykach, z których żaden nie zakończył się sukcesem. Wciąż piła, stale pakowała się w kłopoty i niejednokrotnie oberwała po głowie od miejscowego

szeryfa za publiczne obnażanie się. Była wrakiem człowieka, a z czasem stała się przestrogą dla wszystkich dzieci w Downey River. „Uczcie się, bo skończycie jak Aurelia Tye” – mawiali nauczyciele w tutejszej szkole.

Życie miejscowej moczymordy nie było jednak takie najgorsze; większość osób po prostu nie zwracała na Aurelię uwagi, co bardzo jej odpowiadało. Mogła bez problemów przemieszczać się po mieście, chodzić tam, dokąd miała ochotę, spać na ławce w parku i podsłuchiwać rozmowy starszych pań opuszczających kościół po niedzielnym nabożeństwie. O tak, Aurelia uwielbiała słuchać plotek, a jeszcze bardziej lubiła być tą, która jako pierwsza zdobyła cenne informacje.

Nic więc dziwnego, że kiedy przechadzając się wzdłuż jednej z mniej ruchliwych ulic Downey River, zauważyła niebieskiego pickupa należącego do Georgii Torros, Aurelia nadstawiła uszu i oczu. Zatrzymała się na chodniku, chwiejąc lekko na boki, i zmrużyła powieki, obserwując sunący powoli po jezdni pojazd. Lipcowe słońce utrudniało jej widzenie, ale dostrzegła dwie sylwetki w szoferce. Przetarła oczy pięścią, a następnie pochyliła się lekko, jakby miało jej to pomóc w zidentyfikowaniu pasażera. Dopiero kiedy samochód przejechał obok niej, zobaczyła go dokładnie. Rafael Torros – najsłynniejszy w całym miasteczku obrońca uciśnionych kobiet – wystawiał łokieć przez otwarte okno pickupa.

To nie mógł być nikt inny. Cztery lata temu jego twarz znalazła się we wszystkich wiadomościach. Aurelia czasem oglądała telewizję, stojąc w kolejce w sklepie, w którym akurat był telewizor, albo podglądając przez okno swoje rodzeństwo wciąż mieszkające w rodzinnym domu. Choć wtedy – tak jak i w tym momencie – piła już jakiś czas,

widziała tę twarz tyle razy, że rozpoznałaby ją wszędzie. Poza tym kogo innego mogłaby wieść Georga Torrosa?

Aurelia czknęła, prostując plecy, i rozejrzała się dla pewności, że dostrzegła go jako pierwsza. Czym prędzej dopiła wódkę, nawet się nie wzdrygając na jej smak, a pustą już butelkę wyrzuciła w krzaki. Następnie chwiejnym krokiem pospieszyła w stronę centrum, dzieląc się tą nowiną z każdą napotkaną po drodze osobą: Rafael Torros wrócił do miasta.

Wkrótce wszyscy, którzy chcieli słuchać pijackiego bełkotu Aurelii, wiedzieli o przyjeździe młodego Torrosa. Ta wieść nie ominęła również uszu Helen Bailey, która – zaraz po otrzymaniu tej informacji od swojej matki, która z kolei usłyszała ją od samej Aurelii Tye – wstała od stołu, wymi-gując się złym samopoczuciem, zamknęła się w sypialni i nie wychodziła z niej aż do wieczora.

ROZDZIAŁ 3

Dom rodzinny Torrosa wyglądał źle, jeszcze zanim mężczyzna trafił za kratki. Frank, ojciec Rafaela, nie poczuwał się do odpowiedzialności, aby utrzymywać chałupę w dobrym stanie – o wiele lepiej wychodziło mu chłanie piwską całąmi dniami niż przycinanie żywopłotu, dlatego takie sprawy zostawiał do wykonania synowi. Młody Torros robił wszystko, aby dom nie popadł w ruinę: kosił trawę, naprawiał drobne uszkodzenia, łątał dziury w płocie. Georgia zaś dbała o mizerny ogródek, z uporem maniaka hodując róże, które Frank zawsze ścinał, bo – jak twierdził – rozpraszały go.

Kiedy zabrakło ich obu, kobiecie nie został nikt, kto mógłby zadbać o żywopłot. Starła się sama przycinać za długie gałązki, ale zaprzestała, gdy prawie odcięła sobie sekatorrem palec. Rósł więc, już dawno połknąwszy siatkę ogrodzenia. Również trawnik nie prezentował się dobrze. Pod starą jabłonią, którą Frank zasadził po narodzinach jego jedyne go syna, leżało równie sędziwe, połamane krzesło. Ze ścian domostwa odpadały płaty białej farby, zewnętrzne schody wyglądały na niestabilne, a w balustradzie na werandzie brakowało dwóch sztachet. Widok był okropny i tylko róże, które w końcu nie musiały strzec się Franka i jego nożyczek, rosły piękne i duże, osładzając nieco ten gorzki obrazek.

Pierwszą rzeczą, którą Rafael zrobił następnego dnia po powrocie, było skoszenie trawnika. Nic nie sprawiło

mu wcześniej takiej przyjemności, jak właśnie to. Sunął buczącą kosiarką po trawie, z satysfakcją obserwując, jak źdźbła skracają się o dobre cztery cale¹. Uśmiechał się pod nosem, czując pot spływający mu po plecach. Jeszcze kilka lat temu koszenie trawy było dla niego katorgą, lecz po odsiedzeniu wyroku cieszyło go wszystko, co mógł zrobić jako wolny człowiek.

– Przyniosłam ci gazetę – zawołała Georgia, przekrzykując warkot kosiarki. Machnęła mu plikiem szarych kartek przed twarzą. Odpowiedział, że zaraz ją zabierze, więc odeszła na bok i oparła się o gruby pień jabłoni. W drugiej dłoni trzymała kubek z herbatą, którą powoli piła. Przez dłuższą chwilę przyglądała się synowi z uśmiechem, ciesząc się, że znów miała go przy sobie.

Kiedy Rafael skończył, odstawił kosiarkę do starej, rozpadającej się już szopy, obiecując sobie, że wyremontuje ją jak najszybciej. Wrócił na przód domu, odebrał od matki miejscową gazetę i przerzucił od razu na przedostatnią stronę, gdzie zawsze zamieszczano ogłoszenia o pracy. Tak brzmiało jego postanowienie, kiedy opuszczał mury więzienia: od razu znajdzie robotę i zacznie swoje życie na nowo. Dlatego też poprosił Georgię o najnowszy egzemplarz.

– Jest coś ciekawego? – zapytała, gdy przez kilka sekund się nie odzywał, skanując wzrokiem różne anonse.

– Chcą kogoś do rzeźni – mruknął. Choć obiecał sobie, że nie będzie wybrzydzał, ta wizja nieco go przeraziła. Nie potrafił sobie wyobrazić siebie w miejscu owianym zapachem krwi i śmierci. – I do warsztatu Eda.

– Możesz spróbować u Eda. Zawsze interesowałeś się motoryzacją.

¹ Ok. 10 cm (przyj. red.).

Uśmiechnęła się do niego wesoło, upijając łyk herbaty. Ona również nie widziała go w roli rzeźnika. Pamiętała, gdy jako siedmiolatek rozpląkał się, bo przejechał rowerem żabę.

Pokiwał głową, składając gazetę na pół. Przez chwilę przyglądał się matce i dopiero wtedy dotarło do niego, jak bardzo się zmieniła. Wokół oczu i ust wyraźnie dostrzegał zmarszczki, jej skóra straciła blask i jędrność. Zastanawiał się, czy był to efekt wieloletniego małżeństwa z pijakiem, czy też osadzenia jedyne dziecko w więzieniu.

– Tak się cieszę, że jesteś w domu – oznajmiła, przysuwając się do niego. Położyła wolną dłoń na policzku syna, ze wzrokiem utkwionym w jego niebieskich tęczęwkach. Palcami dotknęła blizny przy prawym oku Rafaela, spoglądając na nią ze smutkiem. Ogarniał ją mrok, ilekroć przypomniawszy sobie okoliczności, w jakich powstała. – Przykro mi...

– Mamo, nie myśl o tym. – Chwycił jej dłoń w swoją i przycisnął do ust. – To już przeszłość, okej? Frank tutaj nie wróci, jesteś bezpieczna. Oboje jesteśmy.

Uśmiechnęła się słabo. Przyciągnął ją do siebie i przytulił z całych sił. Prawie wylała na niego herbatę, ale nie odsunęła się. Za bardzo tęskniła za swoim synem przez te cztery lata, żeby teraz go odepchnąć. Wtuliła więc twarz w twardego torsu i wdychała jego zapach. Niemal od razu poczuła wypełniającą ją ulgę. Tak jak wtedy, gdy był jeszcze niemowlęciem, a ona nie mogła zasnąć, dopóki nie znalazł się blisko niej. Wtedy pachniał lawendą, bo taki zapach miał żel, którym go myła. Teraz czuła szare mydło i pot, ale była spokojna, słysząc mocne i stabilne bicie jego serca.

Żałowała, że nie potrafiła go ochronić. Wszystko, czego dla niego chciała, to szczęście. Tymczasem nie zaznał go nawet w rodzinnym domu, w dzieciństwie. Nie umiała sobie wybaczyć, że nie spostrzegła wcześniej, jakim czło-

wiekem naprawdę był jej mąż. Obwiniła siebie za to, że przez upór, by trwać przy Franku nawet w jego najgorszych dniach, Rafael trafił do więzienia.

Młody Torros nigdy niczego nie miał za złe matce. Robiła, co mogła, żeby dać mu poczucie bezpieczeństwa. Obdarzała go miłością i nieraz przyjęła na siebie gniew Franka, kiedy wkurzył się na małego Rafaela. Właściwie cieszył się, że posyłając ojca w cholerę, mógł w pewnym stopniu odwdziżyć jej się za wszystko, co dla niego zrobiła. Byłby zdruzgotany, gdyby wiedział, że Georgia czuła się wszystkim winna.

– Dobra, koniec tych przytulaniek – wymamrotała kobieta, odsuwając się od niego niechętnie. Chrząknięciem zamaskowała drżenie głosu. – Mam za chwilę spotkanie klubu książki, a ty, zdaje się, miałeś szukać pracy.

– Tak jest. – Mrugnął do niej zadziornie, schylając się, by zabrać z ziemi butelkę z wodą. Przejechał dłonią po brązowych włosach, ściętych na jeża według standardów więziennych, i uśmiechnął się, żeby ją rozweselić.

Zaśmiała się krótko, chwytając go pod ramię. Razem weszli po rozpadających się schodach do białego domu z niebieskim dachem. To była jego cecha charakterystyczna. Kiedy jeszcze była młoda, Georgia zawsze chciała mieć taki dom, więc Frank zbudował taki dla niej. Wtedy byli szczęśliwym małżeństwem.